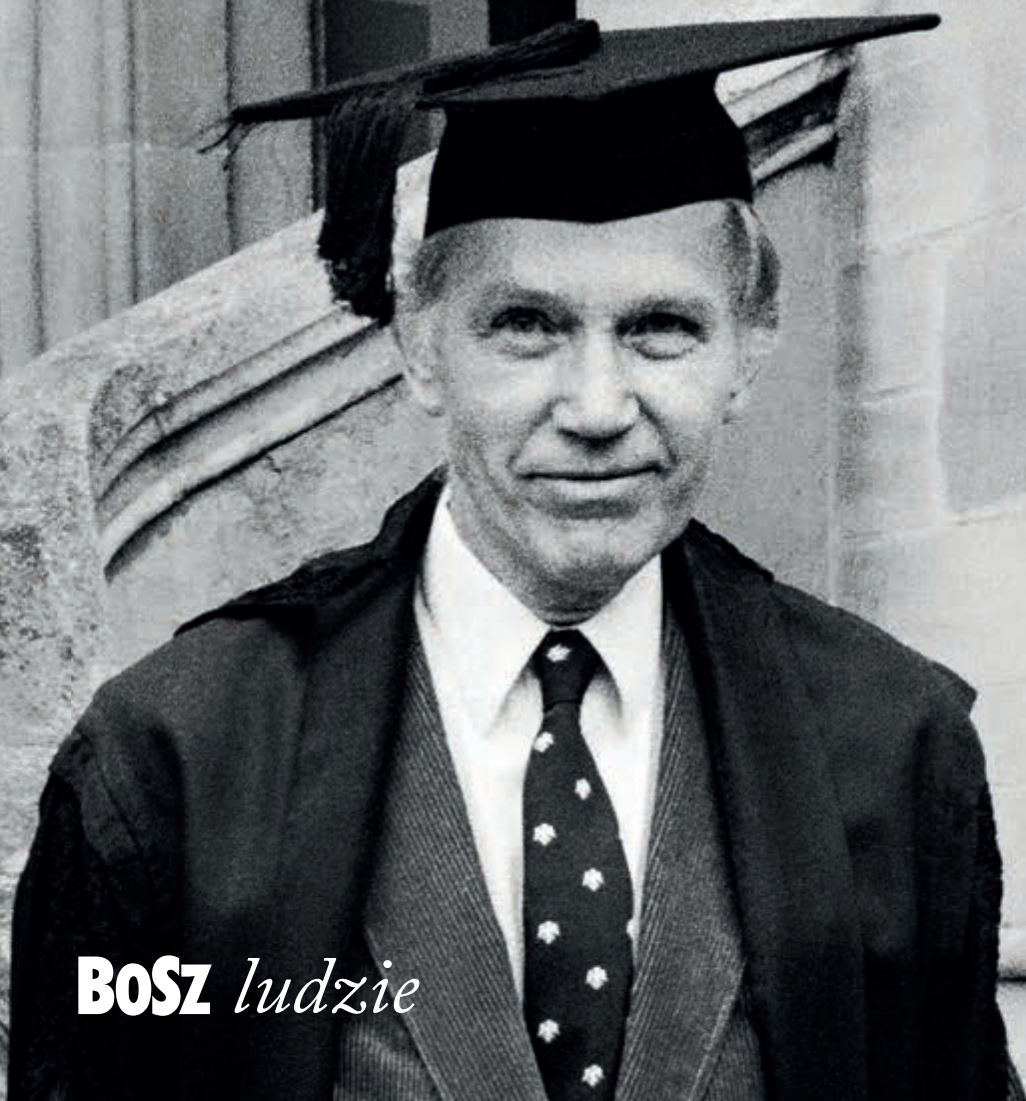


DAVID MCAVOY
ZBIGNIEW
PEŁCZYŃSKI
PODARUNEK ŻYCIA



BOSZ *ludzie*

DAVID MCAVOY
ZBIGNIEW
PEŁCZYŃSKI
PODARUNEK ŻYCIA
BoS

SPIST TREŚCI

PROLOG. Powstańcza tragedia	7
Przedmowa Waltera Isaacsona	9
Przedmowa Davida McAvoya	11
Uniwersytet Oksfordzki i Kolegium Pembroke	13
Dedykacja Zbigniewa Pełczyńskiego	15
ROZDZIAŁ I. Lata młodości	17
ROZDZIAŁ II. Żołnierz	35
ROZDZIAŁ III. Student	54
ROZDZIAŁ IV. Oksfordzki wykładowca	79
ROZDZIAŁ V. Członek rady Kolegium Pembroke	103
ROZDZIAŁ VI. Punkt zwrotny	124
ROZDZIAŁ VII. Podróże – Yale, McGill, Jerozolima	143
ROZDZIAŁ VIII. Podróże – Harvard, Australia, Japonia	164
ROZDZIAŁ IX. Polska	184
ROZDZIAŁ X. Soros	208
ROZDZIAŁ XI. Lider	222
EPILOG. Los zapisany w gwiazdach	236
Słownik terminologii oksfordzkiej	238
Bibliografia prac naukowych Zbigniewa Pełczyńskiego	245
Indeks osób	247
Lista darczyńców	252

PROLOG

Powstańcza tragedia

Oryginalny tytuł tej biografii brzmi: *A Life Remembered* (Życie zapamiętane). Kiedy jednak przyszło do tłumaczenia książki na język polski, stało się dla mnie jasne, że tytuł ten nie oddaje perspektywy moich przeżyć w Polsce.

W środę 9 sierpnia 1944 roku o godzinie czternastej miał miejsce pierwszy nalot niemiecki na Mokotów. Z lotniska położonego na zachód od Warszawy wystartowały trzy nurkowce Junkers Ju 87, wachlarzowo rozpościerając skrzydła nad dzielnicą. Ten z lewej poleciał w moim kierunku. Jako żołnierz kompanii B1 pułku Baszta szedłem ulicą do Szpitala Sióstr Elżbietanek, gdzie rzekomo znajdował się mój zaginiony brat Kazik, „Kotowski”.

Wystrojony w beret, szary kombinezon z białą-czerwoną opaską i niemiecki granat włożony dla fasonu za pas, zrobiłem to, co inni: wbiegłem do najbliższego dużego domu. Ledwo miałem czas zejść do piwnicy i pójść korytarzem w lewo, kiedy usłyszałem złowieszcze wycie samolotu nad budynkiem. Była chwila ciszy, potem samolot poderwał się do góry. Wtedy bomba spadła na lewą część domu, niszcząc ją całkowicie i grzebiąc dziesiątki ludzi. Wśród nich byłem ja. Leżałem pod gruzami około czterech godzin, dusząc się od pyłu i – jak mi się wydawało – konając, aż straciłem przytomność. Obudziły mnie stukania kilofów i łopat oraz coraz wyraźniejsze głosy ekipy ratunkowej. Zacząłem krzyczeć, aby skierować ich w moją stronę. Przez tunel, który wykopano, wdarmo się świeże powietrze i ciepło słońca. Ogarnęło mnie uczucie czystej euforii: życia. Początkowo myślałem, że wszystkie moje kości są pogruchotane, lecz

po badaniu okazało się, że to tylko powierzchowne obrażenia. W ten sposób doświadczyłem bliskości śmierci. Można też powiedzieć, że otrzymałem „podarunek życia”.

Niniejsza książka, autorstwa Davida McAvoya, mojego byłego studenta w Oksfordzie, który po wielu latach przelał moje wspomnienia na papier, jest zapisem tego, co się po powstaniu w moim długim życiu wydarzyło: tego, co mi się udało, i tego, czego mi się nie udało osiągnąć. Niech Czytelnik sam oceni, czy dobrze wykorzystałem „podarunek życia”.

Zbigniew Pełczyński, „Jagiełło”,
26 marca 2018 roku

Przedmowa

Życie Zbigniewa Pełczyńskiego jest doskonałym odzwierciedleniem tego, co inspirowało w XX wieku: obalenia faszyzmu, upadku komunizmu sowieckiego oraz szerzenia wiedzy i wolności człowieka. Jest także fascynującą osobistą historią. Zbigniew Pełczyński to wyrozumiały nauczyciel, skromny uczony, wspaniałomyślny mentor oraz kochający mąż i ojciec.

Za każdym razem uśmiecham się na wspomnienie chwil, gdy zachodziłem do ogrodu kadry Kolegium Pembroke w Oksfordzie i widywałem tam nauczyciela zatopionego w myślach, a zarazem pełnego pasji. Znalazłem się wśród rzesz młodych studentów, których wziął pod swoje skrzydła. Nie tylko wpajał mi (lub usiłował wpajać) wiedzę o Heglu i innych wielkich filozofach polityki, ale także inspirował mnie ideą przekuwania myśli w czyny.

Przyświeca mu ona przez całe życie. Pojął – znacznie lepiej niż ktokolwiek inny spośród znanych mi osób – filozoficzne fundamenty ludzkiej wolności. Z drugiej strony świetnie rozumiał też, jak te koncepcje miały się do rzeczywistości na warszawskich ulicach i w innych miejscach.

Szczęściarzy, którym dane było nazywać się jego studentami, nie tylko nauczał pośród dziedzińców Pembroke, ale także zabierał do siebie do Barton-on-the-Heath, gdzie wraz z Denise raczyli nas rodzinnym ciepłem i domowymi posiłkami.

Począwszy od Arystotelesa i Platona, zgłębialiśmy rolę refleksji nad dobrym życiem i jej urzeczywistnianie. Jednym z najlepszych przykładów tej idei we współczesnym świecie jest arcyciekawy życiorys Zbigniewa Pełczyńskiego, obok którego nie można przejść obojętnie.

Walter Isaacson

ROZDZIAŁ III

Student

Początki nowego życia okazały się niefortunne. Statek był zatłoczony, nocą pasażerom doskwierał chłód. Morze Północne nie obchodziło się z nimi łagodnie – wszyscy powracający żołnierze cierpieli na chorobę morską. Gdy Zbyszek leżał ledwie żywy na koi, pewien marynarz, uśmiechnięty od ucha do ucha, przyniósł mu kubek gorącej, słodkiej herbaty i uraczył go opowieściami o okrętach zatopionych przez miny na tym samym kursie. Na szczęście bezpiecznie dotarli do Harwich i stamtąd udali się do Londynu, gdzie zarejestrowali się w Komitecie dla Spraw Oświaty Polaków w Wielkiej Brytanii (byłym Ministerstwie Edukacji polskiego rządu na uchodźstwie z czasu wojny). Komitet z siedzibą w hotelu Rubens w Kensington planował rekonstrukcję państwa polskiego, fundując stypendia dla studentów architektury, medycyny i prawa. Nowo przybyli mieli dwa dni wolnego na zwiedzanie stolicy.

Zbyszek oczekiwał, że Londyn go onieśmieli, tymczasem od razu poczuł się w nim jak w domu. Popularne atrakcje turystyczne – pałac Buckingham, pałac westminsterski, opactwo westminsterskie czy Tower – były mu znane z podręczników do angielskiego, z których uczył się w Niemczech. Niestety, mimo że podczas kursu Eckersleya przyswoił sobie podstawy mówienia, nie dowiedział się, jak rozumieć angielski. Szczególny zamęt w jego głowie wywołały ceny podawane w dziwacznych funtach, szylingach i pensach. Zamiast przyznać się do niewiedzy podczas zakupów, podawał tylko banknoty, więc po pewnym czasie jego kieszenie pękały w szwach od drobniaków. Wreszcie się poddał, wyciągnął garść monet i powiedział: „Proszę, niech pani liczy”.

W mieście co krok można było spotkać wojskowych i bardzo często byli to Polacy. Zbyszek czuł się jak u siebie, a energii dodawały mu niezliczone możliwości dostępne na wyciągnięcie ręki. Na początku musiał jednak zgłosić się do obozu wojskowego w Szkocji.

Po długiej podróży pociągiem wraz z towarzyszami przybył do obozu na wybrzeżu między Montrose i Arbroath. Był niedzielny poranek. Po wypełnieniu wszystkich formularzy i dopełnieniu kilku formalności poprosili o zezwolenie na opuszczenie bazy i spacer po okolicy. Odpowiedź wstrząsnęła Zbyszkciem. Trafił do regionu ściśle przestrzegającego prezbiteriańskich zasad i później co krok napotykał równie szokujące sytuacje. Okazało się bowiem, że niedzielne przedpołudnia są zarezerwowane na pójście do kościoła lub czytanie Pisma Świętego (choć niektórzy starsi żołnierze dawali do zrozumienia, że tygodnik „News of the World” był o wiele poczytniejszy niż Biblia). Spacer czy wysiłek fizyczny nie były dobrze widziane przez miejscowych, w związku z czym polskie władze ich zakazały. Trzeba było czekać do popołudnia.

Gdy dostali zgodę na wyjście, Zbyszek był pod ogromnym wrażeniem tego, co zobaczył. Nawet na wsi wszystkie drogi były asfaltowe. W Polsce w tym czasie jeździło się w większości po drogach gruntowych lub co najwyżej brukowanych. Budynki z kamienia stały w równych rzędach, a ulice lśniły czystością. Na pytanie o lokalne atrakcje został skierowany do miejscowej knajpki serwującej rybę z frytkami, po raz pierwszy skosztował narodowego dania podanego wraz z dzbankiem herbaty, pieczywem i margaryną. Potem okazało się, że trafił na wersję wykwinną, ponieważ zwykle rybę z frytkami jadano zawinięte w papier śniadaniowy i gazetę, stojąc na świeżym powietrzu.

Po kilku dniach Zbyszek i jego kolega Julek Pużak wyruszyli do Oksfordu, by rozpocząć przygodę ze studiami. Po drodze Zbyszek nabawił się ostrej infekcji palca i do miasta, które przez większość życia miał nazywać domem, przybył, zwijając się z bólu. Przydzielono mu miejsce na łóżku piętrowym w dawnym hotelu George na George Street, wówczas hotelu wojskowym, i skierowano do szpitala wojskowego mieszczącego się w Uniwersyteckim Gmachu Egzaminacyjnym. Gdy lekarz osuszał i opatrywał mu rękę, Zbyszkowi nie przyszło do głowy, że pewnego dnia będzie zdawać, a potem także przeprowadzać egzaminy w tym samym budynku i że jego wykładów będą tam słuchać całe pokolenia studentów.

Jednostka nosząca dumną nazwę Wydziału Prawa Polskiego mieściła się przy klatce schodowej w Kolegium Oriel. Zbyszek uczęszczał tam na wykłady i seminaria, z których większość prowadzili polscy profesoria i wykładowcy. Kontakty z bracią uniwersytecką były dość ograniczone, jednak zajęcia z wprowadzenia do angielskiego prawa powszechnego profesora Fifoota odbywały się w Kolegium Corpus Christi, a wykłady z prawa rzymskiego prowadził łamaną angielszczyzną profesor de Zulueta, przybyły z Hiszpanii profesor Kolegium All Souls. Na szczęście polski asystent wyjaśniał studentom po wykładzie, co profesor miał na myśli.

Trzech pracowników naukowych z Oriel zrobiło na Zbyszku wrażenie, i to z wzajemnością. Pierwszym z nich był profesor Eugeniusz Jarra, były dziekan Wydziału Prawa Uniwersytetu Warszawskiego, który wykładał teorię państwa i prawa obejmującą wstęp do filozofii polityki z elementami prawa. Zbyszka, który miał doświadczenie jako nauczyciel w Grupach Katolickich, wyjątkowo zainteresował ten przedmiot, a profesor był pod wrażeniem jego zapału i umiejętności. Jarra pozostał w Oksfordzie do końca życia, wiele lat później Pełczyński wspierał go w jego ostatnich dniach.

Zajęcia z doktryn społeczno-gospodarczych prowadził profesor żydowskiego pochodzenia z Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, który uciekł z Polski na początku wojny. Ferdynand Zweig, prawnik i ekonomista z wykształcenia, później zrobił karierę jako socjolog. Jako pierwszy w Wielkiej Brytanii wykorzystał metody opracowane przez Williama Thomasa i Floriana Znanieckiego w ich klasycznej analizie *Chłop polski w Europie i Ameryce*. Jej wyniki posłużyły Zweigowi do napisania słynnej książki zatytułowanej *Robotnik w społeczeństwie dobrobytu* (*The Worker in an Affluent Society*).

Doktor Marian Z. Jedlicki był dla Zbyszka kolejną inspiracją, ale początkowo miał o studencie dość kiepskie zdanie. Uważał go za lekkoducha, który nigdy do niczego nie dojdzie. To negatywne wrażenie miało swe źródło w zamiłowaniu Zbyszka do eleganckiego ubioru, które odziedziczył po matce. W Wielkiej Brytanii w 1946 roku odzież była wciąż reglamentowana i mało atrakcyjna, ale Zbyszek nosił mundur od prawie dwóch lat i pragnął odmiany. Odkrył, że może odkupywać kartki na odzież od tych, którzy ich nie wykorzystują, i że w Londynie były sklepy, gdzie przyjmowano je bez mrugnięcia okiem. Z zakupów wrócił wyposażony w doskonałą

jasnobrązową tweedową marynarkę, sztruksy i odpowiednio dobrane dodatki. Był z siebie bardzo zadowolony. Jednak gdy pojawił się w nowym odzieniu na egzaminie ustnym, Jedlicki spojrzał na niego z pogardą i wziął w krzyżowy ogień pytań. Gdy Zbyszek udowodnił ponad wszelką wątpliwość, że doskonale opanował materiał o konstytucjonalizmie europejskim, usłyszał zdawkowe: „Ma pan najlepszą ocenę, panie Pełczyński, ale nie mogę powiedzieć tego samego o pańskim wyglądzie”.

Zbyszek był niewątpliwie elegantem, ale także nadzwyczaj sumiennym i zdeterminowanym uczniem. Jego dbałość o wygląd, a potem o wystrój i umeblowanie gabinetu stały się źródłem uciechy jego studentów, a zarazem pokazały wielu z nich, czym jest dobry smak.

Dzięki przypadkowemu spotkaniu z młodym Anglikiem w hotelu wojskowym Zbyszek mógł zakosztować życia w brytyjskiej rodzinie. Podczas rozmowy okazało się bowiem, że rodzice chłopaka mają wolny pokój do wynajęcia. Zorganizowano spotkanie. Zbyszek zrobił dobre wrażenie na Royu i Dorze, którzy nazwali go Andym, a oni spodobali się jemu. Początkowo nowy dom przypadł mu do gustu. W weekendy wsiadali z Dorą do przedwojennego morrisa i urządzali przejażdżki po okolicznych wsiach. Zbyszek podciągnął się z angielskiego i dowiedział się sporo o życiu w Anglii. Zauważył, że polskie zwyczaje nijak się mają do brytyjskich. W dzieciństwie nauczył się chociażby, że należy odmawiać dokładki dopóty, dopóki ktoś nie zaproponuje jej dwu- lub trzykrotnie. W Oksfordzie wystarczyło, że powiedział: „Nie, dziękuję”, by talerz zniknął mu sprzed nosa. Szybko wyzbył się więc polskich manier przy stole. Śniadania i kolacje jadane wspólnie z lokatorem kazały rodzinie zachowywać pozory uprzejmości, ale gdy gospodarze przyzwyczaili się już do obecności Andy’ego, stało się jasne, że ich małżeństwo nie należy do udanych. Roy był drugim mężem Dory. Dawniej był marynarzem i doznał traumy, gdy jego statek storpedowano na Pacyfiku. Teraz zarabiał na życie jako agent ubezpieczeniowy i na każdym kroku żona przypominała mu, że zarówno dom, jak i morris należą do niej. Gdy padało, a on był umówiony z klientami, musiał błagać o pozwolenie na wzięcie samochodu, a i tak czasami go nie dostawał. Nic dziwnego, że był zgorzkniały, a często agresywny. Podczas jednej z kłótni szarpnął za obrus i zrzucił całą zastawę na podłogę. Nazajutrz cała czwórka po kolei korzystała z jedyne go ocalałego kubka. Gdy para się kłóciła, Zbyszek często popełniał błąd i starając się załagodzić



Zbigniew jako student w St Andrews, paradyjący w szkarłatnej wełnianej todze



Zbigniew podczas przejażdżki na skuterze w czasie studiów w Oksfordzie, 1950 rok



Zbigniew z kolegami na wycieczce objazdowej z okazji ukończenia studiów, czerwiec 1951 roku. Jeździli Caroline, tradycyjną oksfordzką taksówką



Zbigniew z Peytonem Lyonem w Bonn, 1956 rok

ROZDZIAŁ IV

Oksfordzki wykładowca

Trinity założono w 1555 roku na miejscu zlikwidowanej instytucji zakonnej. Jest ono jednym z najmniejszych kolegiów oksfordzkich, za to może się pochwalić reprezentacyjnymi budynkami i pięknym ogrodem. Pełczyński przeniósł się tam już jako wykładowca kolegium. Zajął mieszkanie, w którym w XVIII wieku przebywał William Pitt starszy, późniejszy premier Wielkiej Brytanii. Kolegium wywarło na nim ogromne wrażenie. Pierwszego dnia spotkał służącego, niskiego starszego mężczyznę o nazwisku Horscroft, który zasłynął jako najlepszy kolegiálny służący w Oksfordzie. Zapytał on, o której Pełczyński życzy sobie śniadanie. Umówili się na ósmą.

Ponieważ przybył do kolegium w niedzielę w czasie wakacji, w auli nie podawano obiadu. Jeden z pedagogów z życzliwości zszedł do pokoju klubu profesorskiego, by nowo przybyły nie musiał jeść sam. Posiłkowi towarzyszyło doskonałe porto i szereg anegdot, w tym jedna o domu publicznym przy francuskiej bazie morskiej, której Pełczyński do dziś nie chce powtórzyć. Wrócił do swojego pokoju wyczerpany, w pośpiechu zdjął ubranie i rzucił je na podłogę. Obudził się o siódmej czterdzieści pięć, ale udawał, że śpi, gdy punktualnie o siódmej pięćdziesiąt pięć cicho jak mysz wszedł do pokoju Horscroft. Pozbierał rozrzucone ubrania i ułożył je w kolejności wkładania: bieliznę na wierzchu, potem koszulę, spodnie i skarpety, wszystko złożone w kosteczkę. Następnie wyrównał buty i sprawdził, czy są dobrze wypastowane. W końcu rozsunął zasłony.

Pokój wypełnił łagodny jesienny brzask. Na tle błękitnego nieba rosła jabłoń o krwistoczerwonych owocach, a nad nią górował miodowy gmach

sąsiedniego kolegium. Horscroft podszedł na palcach do łóżka i ustawił pantofle tak, aby stały gotowe do wsunięcia stóp. Zatrzymał się przy drzwiach i odczekał kilka sekund, aż gdzieś z zewnątrz dało się słyszeć bicie zegara. „Dzień dobry panu. Jest ósma. Śniadanie podam za kilka minut w pańskim gabinecie” – powiedział. Gdy odświeżony i już ubrany Pełczyński przeszedł do sąsiedniego pokoju, zastał tam klasyczne angielskie śniadanie, jeszcze ciepłe, bo skryte pod srebrną pokrywą. Od razu zapalał do kolegium sympatią.

Jako członek grona pedagogicznego Pełczyński jadał obiad z tamtejszymi uczonymi i co wieczór zasiadał do kolacji przy suto zastawionym stole profesorskim. Racjonowanie żywności wprowadzone w Wielkiej Brytanii w czasie wojny dobiegało końca, aż wreszcie całkiem zniknęło latem 1954 roku. Pracownicy akademicki z Trinity z chęcią z tego korzystali. Homar, wędzony łosoś, szparagi, truskawki z bitą śmietaną, doskonałe wina – rarytasy niedostępne w latach powojennego kryzysu – teraz na stałe zagościły w menu. Pełczyński dogadzał sobie, jak mógł, i pobyt w kolegium pod względem kulinarnym zalicza do najlepszych w życiu.

Nowe stanowisko wiązało się z ogromną liczbą zajęć. Do jego obowiązków należało przygotowywanie kandydatów do dwóch egzaminów z historii, jednego z instytucji politycznych i jednego z teorii polityki. Wśród tematów znalazła się historia konstytucyjna Anglii z lat 1660–1832, o której Pełczyński praktycznie nic nie wiedział. W St Andrews nie miał zajęć z historii, dlatego musiał sporo doczytywać, aby być zawsze o krok przed studentami. Robił, co mógł, by im pomagać, ale w tamtych czasach kolegium nie słynęło z wybitnych wyników w nauce, a większości studentów brakowało talentu i zapału. Latem 1954 roku zdarzyło się coś, co doskonale odzwierciedlało charakter tego miejsca. Pod koniec konsultacji student otrzymał temat eseju, który miał napisać na następny tydzień. „Ależ panie profesorze, nie piszemy esejów, gdy są wyścigi w Ascot!” – zaprotestował student.

Chcąc podnieść poziom intelektualny studentów, Pełczyński założył Towarzystwo Bryce’a i Diceya. Członkowie towarzystwa spotykali się regularnie w jego gabinecie, aby dyskutować na temat polityki i historii pod portretami Jamesa Bryce’a, absolwenta Trinity, który zrobił błyskotliwą karierę jako polityk, dyplomata i autor publikacji o Stanach Zjednoczonych, oraz Alberta V. Diceya, byłego wykładowcę kolegium i wybitnego autoryte-

tu z dziedziny niepisanej konstytucji brytyjskiej. Pełczyński organizował też spotkania innych klubów, do których wstąpił, zanim zaczął uczyć.

Towarzystwo Politologiczne powstało, by zapłacić lukę w ofercie edukacyjnej uczelni poprzez zapraszanie słynnych uczonych na wykłady gościnne. Jednym z nich był Arnold Toynbee, którego autorytatywne *Studium historii* przedstawiało dzieje świata z perspektywy powtarzających się schematów akcji i reakcji. Pełczyński zwrócił się do wielu oksfordzkich historyków z prośbą o polemikę z mową, ale wszyscy po kolei odmawiali. Dlatego wraz z przyjacielem, Dougiem McCallumem, wygłosili krótkie prelekcje, po których wystąpił Toynbee.

Pełczyński uznał, że spotkaniem może być zainteresowana BBC, dlatego zaprosił przedstawicieli radia, aby nagrali całe wydarzenie. Audycja pojawiła się na kanale trzecim tydzień później. Toynbee, który zmagał się z dość wrogimi recenzjami swojego dzieła, był zachwycony zarówno programem radiowym, jak i reakcjami na Oksfordzie. W dowód wdzięczności podarował organizatorowi komplet swoich publikacji naukowych. Współpraca z BBC była kolejnym z wielu przejawów przedsiębiorczości akademickiej Pełczyńskiego w jego długiej karierze naukowej.

Mieszkanie premiera Pitta stało się miejscem spotkań elitarnego klubu Kwadratura Koła, do którego przyjęto jedynie pięcioro Brytyjczyków i co najwyżej po jednym przedstawicielu innych narodowości. Klub wydawał kolacje, na które zapraszał najznamienitszych przedstawicieli świata nauki i literatury z Oksfordu. Jednym z gości była pisarka Iris Murdoch. Dzięki bogato zaopatrzonej kuchni i piwniczce na stole pojawiały się tylko najlepsze dania i wina, a Horscroft wzorowo obsługiwał gości. Za przykładem innych klubów Kwadratura Koła wypracowała dziwaczne rytuały. Po lampce sher-ry, zanim podano pierwsze danie, członkowie przywdziewali żółte muszki i recytowali po francusku fragment *Du Contrat Social* Rousseau.

Pełczyński znalazł się w zacnym gronie. Prezesem klubu, zwanym Wielkim Magiem, był Alf Bøe, pochodzący z Norwegii doktorant z Kolegium Wadham, który został później dyrektorem Muzeum Muncha w Oslo. Do klubu należał Otto von der Gablentz, późniejszy niemiecki ambasador w Holandii, Izraelu i Rosji oraz rektor Kolegium Europejskiego w Bru-
gii. Jednym z pięciu Brytyjczyków był John Bayley, który po studiach został profesorem angielskiego w Oksfordzie i zasłynął jako krytyk literac-
ki, a także oddany mąż Iris Murdoch.



Portret nowego członka rady Kolegium Pembroke, 1960 rok

ROZDZIAŁ V

Członek rady Kolegium Pembroke

Przez cały swój pobyt w Pembroke Pełczyński spełniał się jako reformator, nawet już będąc na emeryturze. Gdy widział coś, co w jego mniemaniu było złe, niewłaściwe lub niewystarczające, starał się to naprawić. Jeszcze jako wykładowca zaczął reformować metody nauczania polityki. Później, jako członek rady zarządzającej kolegium, miał większą siłę przebicia i ze wzmożonym zapałem zajął się zmianą tego, czego sam musiał doświadczać przez ponad dwa lata.

Postawił sobie za cel pozbycie się lury udającej kawę serwowanej w klubie profesorskim i zastąpienie jej prawdziwą kawą. Wpadł z wizytą do Duke'a, kamerdynera pokoju, aby zbadać źródło problemu. Okazało się, że Duke parzył kawę tylko dwa razy w tygodniu, mieląc uprzednio ziarna, a następnie gotując je przez dwadzieścia minut w wielkim garze. Kawa zaparzona w poniedziałek była odgrzewana i podawana jeszcze we wtorek, środę i czwartek. Piątkową kawę pito zaś aż do niedzieli. Oburzony Pełczyński poruszył sprawę na spotkaniu grona. W końcu zyskał poparcie, kupiono ekspres do kawy i nauczono Duke'a jego obsługi, by każdego dnia podawał pyszny i świeży napój.

Jednak Pełczyński nie docenił przeciwnika. W ciągu zaledwie trzech tygodni Duke zdołał trzykrotnie skutecznie popsuć ekspres. Trzykrotnie przywrócił stare porządki. W końcu Pełczyński musiał się poddać. Wizjonerski reformator przegrał w pierwszej potyczce z oksfordzkim konserwatyzmem. Ekspres wrócił do łask dopiero, gdy Duke przeszedł na emeryturę, a nowy kamerdynier dostał odgórne polecenie, by go używać.

Skoro z kawą mu nie wyszło, przerzucił się na jedzenie. Kolacje przy stole profesorskim w Pembroke były ciężkie, nudne i nijakie. Dwa razy w tygodniu podawano rostbef. Porcję mięsa oficjalnie wnoszono do wspaniałej gotyckiej sali, a szef kuchni uroczyście kroił ją na stoliku ustawionym obok krzesła rektora. W pozostałe dni jadano jagnięcinę, kotlety schabowe, czasami rybę, zawsze w towarzystwie pieczonych lub tłuczonych ziemniaków i dwóch innych warzyw. Dla nauczycieli, którzy mieszkali ze swoimi rodzinami poza murami kolegium i tylko czasami jadali na stołówce, taka tradycyjna kuchnia angielska była do przyjęcia. Dla mieszkających tam kawalerów, którzy stykali się z nią na co dzień, była nieznośnie monotonna.

Zbawienną odmianą były dla Pełczyńskiego wielkie przyjęcia wydawane przez Dominica de Grunne w pobliskim duszpasterstwie katolickim. Czasami był na nich gościem, innym razem zapraszano go dopiero kolejnego dnia, by dojeść to, czego nie zjedzono. Regularnie pomagał też w przygotowaniach do takich kolacji. De Grunne nauczył go gotować, ale była to umiejętność zupełnie nieprzydatna w kolegium, ponieważ w jego kawalerce nie było kuchni.

Pełczyński znów wziął się za reformy. Miał za sobą niesłabnące wsparcie Roberta Baldicka, pół-Francuza uwielbiającego dobrze zjeść. Zaczęli namawiać pozostałych członków zarządu, gdy ktoś podpowiedział im, by skontaktowali się z kwestorem. Był on odpowiedzialny za finanse kolegium i nie chciał słyszeć o jakichkolwiek zmianach, które wiązałyby się z dodatkowymi kosztami. Uznał też za stosowne powiadomić rektora o dochodzących go pomrukach niezadowolenia.

McCallum, dość poważny i pruderyjny Szkot, był zbulwersowany. Gdy poruszono tę kwestię podczas zebrania zarządu, wygłosił płomienną przemowę w obronie *status quo*. Jadłospis był sprawdzony, mięsiwa najlepszej jakości, a kucharze zadowoleni z utartych schematów. „Czego byście chcieli – zapytał – gotowanego homara?”. Dopiero po trzech zebraniach, na których walcowano ten sam temat, rektor niechętnie wyraził zgodę.

Szef kuchni miał inne zdanie. Od lat przygotowywał tradycyjne angielskie potrawy i odmówił zabaw z „fikuśnym dziadostwem z kontynentu”. Na szczęście udało się zawrzeć kompromis. Tradycyjne potrawy serwowano cztery dni w tygodniu, a na pozostałe trzy wieczory gościnne zarząd wymyślał menu i instruował szefa kuchni, jak je przyrządzić.

Początkowo wszystko szło dobrze. Baldick serwował wspaniałe dania francuskie, które wszystkim smakowały. Pełczyński poszedł w stronę kuchni włoskiej, która cieszyła się dużą popularnością. Wtedy nadszedł feralny wieczór, gdy wybrano przepis Elizabeth David na młode kurczaki po polsku: kurczęta obtoczone w jajku na twardo i bułce tartej grillowało się w całości przez kilka minut, po czym podsmażało na maśle. „Nigdzie nie dostanę młodych kurcząt” – stwierdził szef kuchni.

Pełczyński przecesał oksfordzki targ. Na jednym ze straganów udało mu się je zamówić. Ustalił z kucharzami, że sami odbiorą ptaki. Szef kuchni zwietrzył okazję do zemsty na nuworyszu z obcego kraju, który zburzył jego wygodne nawyki. Od stałego dostawcy kupił dorosłe kurczaki, ale ściśle przestrzegał instrukcji ich przygotowania, które dostał od Pełczyńskiego. Na stole pojawiły się stare, żylaste kury, tak niedogotowane, że nie dało się ich zjeść, więc tego wieczora nauczyciele i ich goście poszli spać głodni.

Pełczyńskiego ominęła kulinarna katastrofa, ponieważ otrzymał niespodziewany telefon od brata i musiał wyjechać do Londynu. Ten śmiały eksperyment uznano potem za niezbyt udany i angielskie potrawy znów zdominowały stołówkę. Jedynym ocalałym z próby przeprowadzenia kuchennych rewolucji był barszcz czerwony serwowany z kwaśną śmietaną, który przez długie lata urozmaicał kolacje w kolegium.

Trzecim fiaskiem Pełczyńskiego w pierwszych latach pełnienia nowej funkcji był jego wybór na dziekana. Dziekan Pembroke był członkiem zarządu sprawującym pieczę nad przestrzeganiem zasad przez studentów. Niektóre dotyczyły ubioru – studenci musieli przywdziewać togi podczas kolacji i konsultacji, inne nakazywały wracać do kolegium przed wieczornym zamknięciem portierni, zabraniały wyjazdów z Oksfordu na weekend bez pisemnej zgody, przyjmowania koleżanek w kolegium po godzinie dwudziestej drugiej i oczywiście nierozważnego zachowania i hałasowania w nocy. W przypadku łamania zasad dziekan mógł nakładać grzywny.

Pełczyński wiedział, że granica pomiędzy pobłażliwością i surowością była bardzo cienka, i nie potrafił znaleźć złotego środka. Podobnie jak jego matka, która ganiła go w młodości za drobnostki, po czym rozpieszczała, by zyskać jego przebaczenie, tak on, już jako dorosły, zniechęcił do siebie wielu studentów, nakładając na nich dość surowe kary, po czym

jeszcze bardziej ich drażnił, organizując przyjęcia i zwracając się do nich niczym do dobrych znajomych, aby ich do siebie przekonać.

Na domiar złego Pełczyński nawiązał znajomość z kobietą, która została potem jego żoną. Gdy przyjechała z Londynu i zatrzymała się w pokoju gościnnym w pobliskim domu przynależącym do Pembroke, często wracała grubo po północy, więc Pełczyński niejednokrotnie wędrował po kolegium w czasie, gdy każdy szanujący się dziekan od dyscypliny spałby smacznie w swoim łóżku. Jeżeli impreza studencka się przeciągała lub była zbyt hałaśliwa, dziekan nie tylko to widział i słyszał, ale sam był widziany, więc musiał podjąć działanie, w przeciwnym razie groziła mu utrata twarzy.

Pewnego wieczoru klub wioślarski świętował na rzece udany trymestr. Dostali zgodę na przyjęcie do dwudziestej trzeciej trzydzieści. O północy Pełczyński wysłał do prezesa klubu wiadomość z prośbą o zakończenie imprezy. Bezskutecznie. O pierwszej trzydzieści libacja trwała w najlepsze i skończyła się dopiero nad ranem. Po śniadaniu prezes został wezwany do dziekana i klub otrzymał karę pieniężną w wysokości dwudziestu pięciu funtów, co było sporą kwotą w tamtych czasach. Sytuację komplikował fakt, że prezes klubu wioślarskiego, John O'Brien, był synem jednego z kolegów Pełczyńskiego. Percy O'Brien, wybuchowy irlandzki uczony, wzburzył się na wieść o drakońskiej karze za zwykłe studenckie wybryki. Osobiście zapłacił karę, a przez kolejnych kilka miesięcy jego relacja z dziekanem znacznie się popsuła.

Czara goryczy przelała się, gdy służący Pełczyńskiego, zajmujący się także świetlicą studencką, pokazał mu wpis studenta do księgi uwag: „Chyba już najwyższy czas, aby ten faszysta dziekan, który najwyraźniej przejął pojęcie dyscypliny od Piłsudskiego, wrócił do siebie do Polski”. Studenci byliby pewnie bardziej wyrozumiali, gdyby wiedzieli, że ich dziekan cierpiał w tym czasie z powodu nasilonych objawów choroby afektywnej dwubiegunowej i leczył się w Warneford, miejscowym szpitalu specjalizującym się w problemach psychicznych.

Wkrótce potem Pełczyński z wielką ulgą przyjął zgodę na ustąpienie ze stanowiska.

Po stresie, niezadowoleniu i rozczarowaniu, jakie zgotowała mu rola dziekana, Pełczyński znalazł pocieszenie w małżeństwie. To naturalne, że młody kawaler pracujący w zarządzie kolegium może chcieć się ożenić, ale przed przybyciem do Pembroke Pełczyński nigdy nie był blisko zwią-

zany z żadną kobietą. Zdarzyło mu się kilka przelotnych romansów, ale poza pożądaniem nie było w nich nic głębszego. Jedyną prawdziwą, choć platoniczną miłością jego życia był Michael Greenslade w Queen's. Nie był pewien, czy jest materiałem na męża. Zmienił jednak zdanie, gdy spotkał Claudię, żonę Rodneya Needhama, znajomego z grona pedagogicznego Merton. Mężczyźni zostali przyjaciółmi, a Pełczyński często go odwiedzał w jego zachwycającym domu na Hollywood Street.

Claudia Needham (z domu Brysz) była córką Polaka i Francuzki. Jej rodzice poznali się, gdy ojciec studiował we Francji. Został profesorem matematyki, lecz umarł młodo. Jego krewni pomagali w utrzymaniu Claudii, która większość dzieciństwa spędziła w Polsce. Podczas wojny uciekła wraz z mężem przed rządem Vichy, nim zdołano go aresztować za udział w ruchu oporu. Podróżując przez Hiszpanię i Portugalię, dotarli do Londynu. Potem się rozstali, a w końcu rozwiedli. Po krótkim pobycie w Stanach Zjednoczonych Claudia wróciła do Wielkiej Brytanii, gdzie poznała i poślubiła Rodneya Needhama. Pojechali razem na Daleki Wschód, gdzie oprócz prowadzenia poważniejszych prac terenowych zajmowało ich kolekcjonowanie męskich sztang intymnych do piercingu genitaliów, które oczarowały niegdyś słuchaczy w Pembroke (wśród których znajdował się także autor tej książki).

Claudię i Pełczyńskiego połączyły nie tylko polskie korzenie, ale także zamiłowanie do dekoracji wnętrz. Doradzała mu w kwestii wystroju klatki schodowej w Nuffield, za który otrzymał fotel jajo Jacobsena, a także przy meblowaniu jego mieszkania w Starym, a potem Północnym Dziedzińcu Pembroke. Aby wesprzeć domowy budżet, Claudia udzielała korepetycji językowych, a Pełczyński – który mówił po polsku, niemiecku, angielsku i włosku – stwierdził, że to doskonała okazja, by poznać podstawy francuskiego. Bardzo się ze sobą zżyli.

Claudia Needham nie przypominała kobiet, które Pełczyński do tej pory spotykał. Nie miała żadnych zahamowań w kwestii seksu – uważała go za coś naturalnego, podniecającego i wartego rozmowy. Pełczyński ją uwielbiał. Była pierwszą kobietą, z którą łączyła go dojrzała więź emocjonalna, choć nigdy cielesna. Gdy ją poznał, zapalał chęcią, by się ożenić. Najpierw musiał jednak znaleźć kandydatkę na żonę.

Denise Cremonę, absolwentkę Oksfordu pracującą dla BBC, poznał na przyjęciu w londyńskim domu Tony'ego i Joy Whitby. Od razu między

ROZDZIAŁ VI

Punkt zwrotny

W latach sześćdziesiątych stan psychiczny Pełczyńskiego znacznie się poprawił. Choroba afektywna dwubiegunowa, z którą tak długo się zmagał, odeszła w niepamięć. W 1968 roku doszło do trzech zdarzeń, które wywarły ogromny wpływ na jego życie. Po pierwsze, odwiedziła go Patricia Skinner, redaktor naukowa wydawnictwa Cambridge University Press. W poszukiwaniu nowych tytułów zapytała, czy nie pracuje nad czymś, co nadawałoby się do druku. Nie pracował, ale doświadczył pierwszego z trzech nagłych olśnień, które zmieniły kierunek jego działalności naukowej i zaprowadziły go do trzech osiągnięć, z których jest najbardziej dumny. „Może – zaproponował – warto by wydać coś o Heglu w 1970 roku, w dwusetną rocznicę jego urodzin”. Nie miał czasu, by napisać całą monografię, ale zapalił się do pomysłu zebrania esejów innych uczonych i opatrzenia ich wstępem i zakończeniem.

Pomysł się spodobał i spisano umowę. Gdy Pełczyński zaczął rozglądać się za autorami, okazało się, że na palcach jednej ręki można było policzyć brytyjskich teoretyków polityki zainteresowanych Heglem. W akcie desperacji zwrócił się do kolegi, Johna Plamenatza, który przeniósł się niedawno z Nuffield do All Souls, gdzie został profesorem teorii społecznej i politycznej, zastępując na tym stanowisku Isaiaha Berlina. Plamenatz nie był skory do pomocy i wymigiwał się niedostateczną wiedzą i silnym uprzedzeniem wobec Hegla. Ostatecznie zgodził się coś napisać, lecz raczej z powodu życzliwości wobec przyjaciela niż ze szczerej chęci. Pierwszym

rezultatem była znakomita recenzja, która przyczyniła się do sukcesu książki Pełczyńskiego. Drugim efektem było pogłębienie się i tak już silnej relacji między nimi: wspólne zainteresowanie Heglem stało się intelektualną więzią, która trwała do śmierci Plamenatza w 1975 roku.

Judith Shklar, wybitna profesor politologii z Harvardu, przebywała właśnie na urlopie naukowym na Oksfordzie. Wspomniała komuś przy kolacji, że zaczęła czytać *Fenomenologię ducha* autorstwa Hegla i co rusz napotykała ciekawe poglądy polityczne. Wieści przekazano Pełczyńskiemu, który czym prędzej wprosił się na obiad do All Souls, aby z nią porozmawiać. Początkowo upierała się, że wie za mało o Heglu, ale w końcu i ona dała się przekonać. Gdy na liście autorów znajdowały się już nazwiska znamienitych profesorów z Oksfordu i Harvardu, łatwiej było zwerbować kolejnych – z Paryża, Saarbrücken, Erlangen, Toronto, Miami i Pensylwanii. Książka, która miała uczynić z Pełczyńskiego międzynarodowego heglistę, nabierała kształtu.

Drugim brzemennym w skutki wydarzeniem w 1968 roku był wybór następcy R.B. McCalluma, który nieoczekiwanie porzucił stanowisko rektora Pembroke. Część członków rady kolegium twierdziło, że doskonałym następcą byłby czołowy filozof. Przekonali Pełczyńskiego, by dyskretnie podpytał właściwe osobistości Oksfordu. W końcu wybór padł jednak na sir George'a Pickeringa, znanego klinicystę ustępującego z prestiżowej Katedry Medycyny. Zbigniew i Denise bardzo zbliżyli się do sir George'a i jego żony, a Pełczyński przekonał się, jak duże znaczenie w życiu oksfordzkiego kolegium odgrywa rektor wraz z małżonką.

Trzecim doniosłym wydarzeniem w 1968 roku było zdobycie stanowiska, którego Pełczyński od dawna pragnął: dziekana studentów podyplomowych. Podczas studiów w Queen's przekonał się, że magistranci i doktoranci są traktowani w Oksfordzie raczej jak studenci drugiej kategorii. Gdy studiował filozofię, jeden z jego kolegów z roku, Amerykanin, był praktycznie pozostawiony sam sobie. Jego jedynym kontaktem z kolegium była skrzynka na portierni służąca do przekazywania korespondencji. Nie miał pokoju, wstępu do świetlicy studenckiej, znajomych ani nauczycieli. Miał sobie radzić na własną rękę.

Teraz Pełczyński miał szansę poprawić los takich studentów w Pembroke. Ustanowił gościnne wieczory, gdy zapraszano ich na kolację przy stole profesorskim. Organizował dla nich przyjęcia, podczas których

mogli się integrować ze sobą, młodszymi studentami oraz kadrą akademicką. Przy poparciu nowego rektora, po długim boju z zarządem, zdołał wywalczyć dla starszych studentów dziesięć pokoi – całą klatkę w nowym Północnym Dziedzińcu. Z czasem dzięki niemu kolegium stało się ich domem. Świetlica studencka, salon telewizyjny, bar i pomieszczenie z szafkami stały się centrum życia studentów podyplomowych. Reformy nie ograniczały się jedynie do Pembroke. Jako członek międzykolegialnego Komitetu Nauczycieli Studentów Podyplomowych skutecznie ubiegał się o zmiany w sposobie ich traktowania na całej uczelni.

Był szczególnie wyczulony na potrzeby i problemy studentów z Ameryki Północnej, bez względu na kierunek ich studiów. Z kilkorgiem z nich nawiązał długoletnie przyjaźnie. Powody takiego podejścia da się łatwiej zrozumieć, przeczytawszy fragment listu napisanego do Pełczyńskiego przez jednego z nich, Franka Keefe'a (po studiach udzielał się w polityce w Massachusetts, następnie prowadził przedsiębiorstwo w Bostonie):

„Mam przed sobą wszystkie eseje pisane na Twoje zajęcia w ciągu dwóch lat, które spędziłem na Oksfordzie, poczynawszy od *Spółczeństwa obywatelskiego i państwa w filozofii polityki Hegla* poprzez *Rousseau: zwolennik liberalizmu czy totalitaryzmu* po *Koncepcję własności Locke'a*. Nie pozbyłem się żadnych esejów z tamtych czasów, ale te z Twoich zajęć są dla mnie najcenniejsze. Nie tylko dlatego, że mogę je przeczytać bez wstydu – a niektóre są nawet całkiem niezłe – ale także dlatego, że przywołują wspomnienia tamtych szczęśliwych dni, gdy dyskutowaliśmy we dwóch o światłych myślicielach i ideach. Rozmowa o Heglu w ogrodzie kadry Pembroke w cudowne, ciepłe wiosenne popołudnie szczególnie zapadła mi w pamięć, ponieważ spędziliśmy tam wtedy dobre półtorej godziny. Pamiętam też konsultacje w Twoim mieszkaniu, które było zawsze tak słoneczne – zupełnie odmienne od mrocznych zakamarków Merton.

Pierwszy trymestr na Oksfordzie nie był łatwy. Przyjechałem z Fort Benning w Georgii w oczekiwaniu na przerzut do Sajgonu, ale przez kilkakrotnie zwichnięte ramię naprędce zwolnili mnie ze służby, gdy dezorientowany byłem akurat w drodze do Oksfordu. Pamiętam pierwsze kolokwium u nauczycieli w Merton. John Lucas stwierdził wówczas, że fizycznie może i dotarłem na Oksford, ale mózg zgubiłem gdzieś nad Atlantykiem. Gdy nadszedł wiosenny trymestr, szło mi już o wiele lepiej. To właśnie wtedy napisałem esej o Heglu.

Ale podczas tego samotnego pierwszego roku najważniejsze było dla mnie wsparcie i życzliwość, które otrzymałem od Ciebie i Twojej rodziny. Wspominam często kolację wydaną przez Ciebie i Denise dla mnie i dwóch lub trzech innych studentów filozofii, polityki i ekonomii z Merton. Atmosfera była tak swobodna i przyjacielska. Nie mogę zapomnieć rozmowy z matką Denise, która opowiedziała mi, jak pojechała z mężem do Nowego Jorku i jak zakochała się w Piątej Alei i Manhattanie.

No cóż, to było wieki temu. Wstawiłeś się w świecie naukowym. Pamiętam, że wraz z Denise wpadliście kiedyś do nas do domu w Bostonie. To było zaraz po wyborze papieża Jana Pawła II. Pamiętam, jak odwiedziła nas Wasza córka i przenocowała na naszym poddaszu. Pamiętam też wspólną kolację z Tobą w Pembroke, gdy odszedłem z rządu w 1989 roku”.

Tom Herman był kolejnym amerykańskim studentem Pembroke, który przybył, by napisać pracę magisterską ze stosunków międzynarodowych. Jednak dzieliło go zbyt wiele pod względem intelektualnym i emocjonalnym z jego promotorem. Zwrócił się więc do dziekana studiów podyplomowych z prośbą o pomoc i porzucił pracę badawczą. Od tego czasu Herman i Pełczyński regularnie spotykali się na nieoficjalnych konsultacjach. Wiele lat później, gdy Herman – absolwent prawa na Harvardzie – objął wysokie stanowisko w administracji gubernatora Massachusetts, Michaela Dukakisa, stał się dla swojego dawnego nauczyciela przewodnikiem po scenie politycznej i być może najlepszym amerykańskim przyjacielem.

Dick Sabot z pewnością nie miał problemów z nauką, gdy po ukończeniu Uniwersytetu Pensylwanii przybył do Pembroke, by studiować filozofię, politykę i ekonomię. Zrobił zawrotną karierę naukową i biznesową. Stałe utrzymywał kontakt z byłym profesorem, wraz z żoną i dziećmi odwiedzał Pełczyńskich w Oksfordzie i Barton i zorganizował staż badawczy w Pakistanie dla Tonton, gdy studiował antropologię społeczną na Cambridge.

Pełczyński był dla swoich studentów kimś więcej niż tylko nauczycielem. Dbał o ich rozwój naukowy i zapraszał ich na seminaria na temat Hegla, Marksa i Milla, podczas których spotykali się z profesorami i innymi uczonymi jak równy z równym. Miało to pewien nieoczekiwany efekt uboczny. Pewnego razu zwrócił się do niego przedstawiciel entuzjastycznie nastawionych Amerykanów, którzy byli pod ogromnym wrażeniem jego działalności: „Panie doktorze, jesteśmy grupą studentów o radykalnych poglądach i od pewnego czasu obserwujemy pana poczynania. Pana

ROZDZIAŁ IX

Polska

Wybory parlamentarne w Polsce w 1957 roku wzbudziły w Pełczyńskim nadzieję, że w jego ojczyźnie wreszcie coś się zmieni na lepsze. W latach sześćdziesiątych kilkakrotnie wybierał się tam w poszukiwaniu sygnałów demokratyzacji, ale po zapowiadanej „polskiej drodze do socjalizmu” nadal nie było ani śladu. Zdarzały się kompromisy dostosowane do polskich realiów: Kościół zyskał większą swobodę, zaniechano kolektywizacji rolnictwa i przez pewien czas ograniczono kontrolę nad życiem kulturalnym i intelektualnym. Jednak Gomułka nadal sprawował władzę w typowym komunistycznym stylu. W 1968 roku zarządził oczyszczenie partii z „rewizjonistów i syjonistów”, a wielu czołowych intelektualistów, w tym Leszek Kołakowski, Włodzimierz Brus i Zygmunt Bauman, musiało opuścić kraj. Pełczyńskiego natomiast opuścił optymizm.

Potem nadeszły wydarzenia grudnia 1970 roku. Tuż przed Bożym Narodzeniem rząd podniósł gwałtownie ceny wielu produktów spożywczych. W Gdańsku, Gdyni, Elblągu i Szczecinie rozpoczęły się demonstracje. Wszczęto strajki i zamieszki. Władze zareagowały bardzo ostro, wojsko otworzyło ogień, zginęli ludzie. W końcu rozruchy stłumiono. W konsekwencji Gomułka na stanowisku pierwszego sekretarza KC PZPR zastąpił Edward Gierek.

Pełczyński był zdruzgotany brutalnością władzy, ale też zafascynowany sytuacją. Polska klasa robotnicza miała być prawie w całości tworem komunistycznym. Podejmując próby industrializacji kraju po wojnie, partia otwierała kopalnie, huty i stocznie, do których garnęli się uciekający przed biedą mieszkańcy wsi. W zamian otrzymywali nie tylko wyższe

zarobki, ale także uprzywilejowany status w systemie politycznym i edukacyjnym. Teraz robotnicy zwrócili się przeciwko partii. Czy miało to stanowić potwierdzenie teorii – sformułowanej przez Trockiego, a potem popartej przez Milovana Đilasa – że partia komunistyczna stała się nową wysoce uprzywilejowaną klasą, „czerwoną burżuazją”, i proletariat w końcu to zauważył?

Pełczyński udał się do Polski, aby przekonać się o tym na własne oczy. Istota nowej sytuacji znalazła odzwierciedlenie w pewnym wydarzeniu w Szczecinie, o którym po kilku dniach opowiedział mu naoczny świadek. Strajkujący wdarli się do siedziby partii. Jeden z nich wyszedł na balkon, trzymając w rękach srebrną tacę z kryształowymi kieliszkami i francuskim koniakiem. „Patrzcie, co piją te dranie!” – wykrzyknął do tłumu zebranego na ulicy i rzucił tacą na ziemię. Za nią poleciały drogie skórzane fotele, potem spalono cały budynek. Komuniści się skompromitowali: partia nie służyła robotnikom, lecz ich wykorzystywała. Polska wróciła na mapę zainteresowań Pełczyńskiego.

Gierek zdołał uspokoić naród dzięki ogromnym pożyczkom z Zachodu, podnosząc standard życia społeczeństwa. Ta polityka przez chwilę przynosiła pożądane rezultaty. Jednak gospodarka planowa była absolutnie niewydajna, a pożyczki nie stanowiły rozwiązania, które zaradziłyby problemom Polski na dłuższą metę.

Pełczyński coraz częściej pojawiał się w kraju i nawiązywał kontakt z opozycjonistami z różnych stron. Część z nich pochodziła z wewnątrz – byli to członkowie partii, niektórzy na wysokich stanowiskach, którzy zdawali sobie sprawę z konieczności przeprowadzenia gruntownych zmian i byli skłonni spotkać się z nim nieoficjalnie, by porozmawiać. Pełczyński sądził, że w przypadku kolejnego kryzysu, który był właściwie nieunikniony, robotnicy będą mieli zwolenników i sojuszników w kręgach władzy.

Kolejna opozycja, o dziwo, działała otwarcie. Gdy w 1976 roku rząd brutalnie stłumił strajki robotników, założono Komitet Obrony Robotników. Choć była to organizacja nielegalna, miała swój adres, numer telefonu oraz listy członków i jawnie publikowała biuletyn o represjach. Jednym z założycieli KOR-u był Jan Józef Lipski, który służył wraz z Pełczyńskim w AK i przebywał w obozie w Sandbostel. Gdy pewnego sobotniego poranka dwaj byli towarzysze broni dyskutowali o obecnej sytuacji, Lipski nagle zerwał się na równe nogi. „Przepraszam – powiedział – muszę

lecieć. Jeśli do południa się nie podpiszę, to nie dostanę w tym miesiącu wypłaty”. Mimo że sprzeciwiał się władzy, pracując właściwie na pełny etat dla nielegalnej organizacji, wciąż pobierał wynagrodzenie z instytucji państwowej – był zatrudniony jako krytyk literacki IBN.

Pełczyński był już pewien, że reżim nie przetrwa długo. I miał rację. W sierpniu 1980 roku w Stoczni Gdańskiej wybuchł strajk. Na scenę światową wkroczyła Solidarność wraz ze swym przewodniczącym, Lechem Wałęsą. Polska znów pojawiła się na pierwszych stronach gazet, a media brytyjskie zwracały się do Pełczyńskiego jako eksperta. Pewnego razu, wchodząc do studia telewizyjnego, gdzie miał wziąć udział w dyskusji o rozwoju sytuacji w Polsce, usłyszał, jak Denis Healey, były kanclerz skarbu, a potem wiceprzewodniczący Partii Pracy, narzeka: „A ten Pełczyński to co za jeden? Pierwsze słyszę. Trzeba było wziąć Kołakowskiego”. „Zanim powie pan coś jeszcze, panie Healey, to ja jestem Pełczyński” – odezwał się.

Mimo że nie zaczęli najlepiej, program się udał, a Pełczyński i Healey zostali w studiu po jego zakończeniu, korzystając z bożonarodzeniowej gościnności BBC. Healey skontaktował potem Pełczyńskiego z Frankiem Chapple'em, liderem związku zawodowego elektryków, który poprosił go, by podczas najbliższego pobytu w Polsce przekazał Wałęsie ofertę wsparcia finansowego. Pełczyński rzeczywiście odwiedził siedzibę Solidarności w Hotelu Morskim w Gdyni, gdzie uprzedzono go, że w każdym pokoju jest podsłuch. Poznał Wałęsę, ale nie mógł mu przekazać wiadomości od Chapple'a.

Tym razem zamiast tłumić strajk, władze podjęły negocjacje. Wałęsa uzyskał prawo do utworzenia wolnego niezależnego związku zawodowego. Jednak warunki życia w Polsce nie poprawiły się, niepokoje społeczne nie ustawały. W partii przewagę uzyskali „twardogłowi” i w grudniu 1981 roku wprowadzono stan wojenny. W niedzielę 13 grudnia Pełczyński przebywał w swoim domu w Barton, gdy usłyszał przemówienie Jaruzelskiego. Z radości aż podskoczył: „To może być koniec komunizmu w Polsce!” – krzyknął.

W tamtej chwili jego opinia była dość niecodzienna. Dla mediów zachodnich stan wojenny był kolejnym potwierdzeniem – po Węgrzech w 1956 i Pradze w 1968 roku – że komuniści za wszelką cenę chcą utrzymać monopol na władzę. Pełczyńskiego poproszono, aby wytłumaczył Brytyjczykom, co się dzieje. Udzielił wywiadu dla telewizji. Poproszono go wtedy, aby w zaledwie cztery minuty opowiedział o powstaniu i upadku Solidarności oraz

o następstwach przejęcia władzy przez Jaruzelskiego. W rzeczywistości na wypowiedź miał tylko dwie i pół minuty, a dziennikarz prowadzący wywiad przyznał potem, że nigdy nie słyszał, by ktoś mówił równie szybko.

Wystąpił też w prestiżowym programie informacyjnym *Weekend World* na kanale ITV prowadzonym przez Briana Waldena i transmitowanym na żywo w niedzielne popołudnia. Gdy w Oksfordzie zjawił się samochód, który miał zabrać go do studia, Pełczyński ku swojemu zdziwieniu zobaczył za nim drugi taki sam. Kierowca wyjaśnił: „Gdyby pan nie przyjechał, pan Walden nie miałby z kim rozmawiać. Nie możemy dopuścić do takiej wpadki”. W czasie dyskusji Pełczyński wciąż powtarzał – mimo sceptycznych pytań Waldena – że tym razem obędzie się bez interwencji Związku Radzieckiego. Polska jest inna. Nie pomylił się: jego znajomość polskiego społeczeństwa i jego elit pozwoliła mu przewidzieć rozwój wypadków.

Pełczyński napisał artykuł naświetlający tło tych wydarzeń dla magazynu „New Society”. W kolejnych latach jeszcze wielokrotnie wypowiadał się w gazetach i telewizji. Redaktor „New Society” w latach 1968–1986, Paul Baker, tak opisuje zasługi Pełczyńskiego dla dziennikarstwa:

„Pełczyński skontaktował się ze mną pod koniec sierpnia 1980 roku. Zadzwoił do mnie do »New Society« z Oksfordu i zapytał, czy nie byłbym zainteresowany artykułem, który ukazałby strajki w Stoczni Gdańskiej w kontekście historycznym. Kilka miesięcy wcześniej ukazała się jego książka *Historia Polski od 1863 roku*. Zastanawialiśmy się, jak w niesztampowy i nietuzinkowy sposób przedstawić wydarzenia w Polsce. Jako redaktor magazynu, zamawiając artykuły dotyczące bloku komunistycznego, zawsze skłaniałem się ku publicystom, którzy znali język kraju, o którym pisali. Tak się składa, że uczyłem się kiedyś rosyjskiego. Za żadne skarby nie chciałem powtarzać schematu zachodnich korespondentów jednojęzycznych, którzy komentowali wspaniałości Związku Radzieckiego po przeczytaniu tendencyjnych danych lub wizycie w pokazowym szpitalu czy szkole, co przypominało wioski potiomkinowskie z czasów Cesarstwa Rosyjskiego.

Taki sam trend pojawił się też gdzie indziej. Jeden z pierwszych dramatów Davida Hare’a, zatytułowany *Fanshen* (1975), opiewał propagandową chińską wieś, która przeszła radykalną zmianę, wcielając w życie idee maoizmu. Gdy rok później Mao zmarł, okazało się, że rzeczywistość w Chinach dalece odbiega od propagandowych laurek.

ROZDZIAŁ XI

Lider

Na początku 1994 roku, gdy Pełczyński osiadł na emeryturze w Barton-on-the-Heath, było mu żal, że odszedł z kręgów władzy i wpływów. Czuł za to rozpierającą go energię popychającą do działania na rzecz odnowy ojczyzny. Wtedy właśnie przyszło trzecie, być może najważniejsze olśnienie, które zainspirowało go do ostatniego z trzech osiągnięć będących jego największą dumą. Doświadczenia z Polski przekonały go, że kraj potrzebuje programu mającego na celu wynajdywanie i rozwijanie nowego typu aktywnych obywateli. Poznawaliby oni zasady funkcjonowania otwartych społeczeństw, a także zdobywali umiejętności niezbędne do kształtowania młodych demokracji w Europie Wschodniej.

Napisał do Sorosa z prośbą o wsparcie finansowe dla corocznej szkoły letniej dla młodych liderów społecznych i politycznych. Soros z przykrością odmówił, ponieważ właśnie postanowił utworzyć w Budapeszcie Uniwersytet Środkowoeuropejski i nie miał czasu na inne inicjatywy. Niezrażony Pełczyński wybrał się do Polski. Na początku maja, wkrótce po przyjeździe, otrzymał telefon od dyrektora Fundacji Stefana Batorego: „Zbigniew, słyszałem, że jesteś w mieście. Zjadłbyś ze mną jutro obiad? Chcę ci kogoś przedstawić”. Nazajutrz, zającąc pyszny obiad w byłym klubie oficerów SB (zwanym teraz restauracją Flik), Pełczyński poznał Katalin Koncz, dyrektorkę wykonawczą nowego Instytutu Społeczeństwa Otwartego w Budapeszcie – kolejnej fundacji Sorosa. Do Warszawy przyjechała w poszukiwaniu pomysłów. Pełczyński dostrzegł swoją szansę: Instytut mógłby poprzeć inicjatywę, którą odrzucił Soros. „Mam pomysł” – zagaił. „Jaki?”. „Szkółę dla młodych liderów społecznych i politycznych w Polsce”. „Świetnie.

Ile pieniędzy na to potrzeba?” „Pięćdziesiąt tysięcy dolarów” „Żaden problem. Proszę napisać do mnie list”. Wątpliwości, jakie Tom Herman wyraził w kwestii przejścia ZAP-a na emeryturę, okazały się słuszne: właśnie wkraczał on w nową rolę, być może najważniejszą w życiu.

Jednak nie samą pracą żyje człowiek. W czerwcu 1994 roku prezydent Bill Clinton otrzymał honorowy doktorat Uniwersytetu Oksfordzkiego. Podczas nieformalnego przyjęcia spotkał się z ówczesnymi stypendystami Rhodesa. Anthony Kenny, dyrektor Rhodes House, postanowił zabawić towarzystwo i odczytał fragment opinii mentora o młodym amerykańskim studencie z lat sześćdziesiątych. Z jednej strony Pełczyński chwalił jego kwalifikacje akademickie⁴⁰, a z drugiej stwierdził, że Clinton „powinien zwracać większą uwagę na jakość swojego języka angielskiego w pisaniu”.

Do kolejnego spotkania z prezydentem doszło niecały miesiąc później, tym razem podczas wizyty w Warszawie. Pełczyński otrzymał zaproszenie do Sejmu na wystąpienia prezydenckie, a podczas oficjalnego bankietu w pałacu posadzono go naprzeciwko Hillary Clinton. Pozostali goście nie znali zbyt dobrze angielskiego, więc z radością rozmawiała przez dobrą godzinę z dawnym mentorem męża. Następnego dnia, podczas przyjęcia pożegnalnego w ogrodzie ambasady USA, określiła swoje spotkanie z Pełczyńskim mianem „jednej z głównych atrakcji” wizyty w Polsce.

Pełczyński spotkał się z Clintonem jeszcze kilkukrotnie, w tym dwa razy w Warszawie. Z politycznego punktu widzenia najważniejsze z tych spotkań odbyło się w lipcu 1997 roku. Prezydent wygłosił przemówienie na temat decyzji o przyjęciu Polski, Węgier i Czech do NATO. Jego słowa odbiły się szerokim echem wśród Polaków. Mówił: „Polska wkracza do grona państw demokratycznych. Już nigdy o waszym losie nie będą decydować inni”.

Dla Pełczyńskiego była to niezwykle poruszająca chwila: nareszcie zniknęły ostatnie widma hitleryzmu i stalinizmu. Po ceremonii odbyło się przyjęcie na tarasie Pałacu Prezydenckiego. Clintona otoczyli krzykliwi krytycy amerykańskiej polityki wobec Bałkanów. Przywołał więc na pomoc Pełczyńskiego: „Zbig, byłeś moim nauczycielem. Chodź tu i pomóż mi”.

⁴⁰ W sporze na temat tego, jak przyszły prezydent radził sobie na Oksfordzie, Pełczyński zdecydowanie opowiada się za Clintonem. Zob. wyśmienitą dyskusję w: Thomas J. Schaeper i Kathleen Schaeper, *Rhodes Scholars, Oxford, and the Creation of an American Elite*, Oxford 2010, w szczególności rozdział 11.

EPILOG

Los zapisany w gwiazdach

W pewnym sensie życie wszystkich ludzi zależy od przełomowych wydarzeń historycznych. Kto wierzy w astrologię, powiedziałby, że losem ludzkim rządzą ruchy gwiazd.

W okresie międzywojennym pojawiają się w Oksfordzie młodzi ludzie z rodów Tarnowskich czy Zamoyskich, ale w tych czasach nie ma jeszcze szans, aby ktoś z warstwy społecznej Pełczyńskiego znalazł się na tym uniwersytecie. To, jak Pełczyński, chłopak urodzony w Grodzisku Mazowieckim, trafia do Wielkiej Brytanii w 1946 roku, jest tego najlepszym przykładem.

Pierwszym ruchem gwiazd jest odzyskanie przez Polskę niepodległości 11 listopada 1918 roku. Nowe państwo rozwija się otoczone odwiecznymi wrogami: Niemcy – staczające się w nazistowską dyktaturę – i Rosja – będąca pod jarzmem stalinizmu. Zanim Hitler, wbrew wcześniejszym deklaracjom, zaanektuje Sudety i całą Czechosłowację, Wielka Brytania losem Polski się nie interesuje i nie docenia groźby nazizmu. Dopiero aby powstrzymać dalszą niemiecką ekspansję, rząd brytyjski wraz z francuskim gwarantują niepodległość Polski. Pierwszy raz w historii Wielka Brytania i Polska stają się sojusznikami.

Tym niemniej 1 września 1939 roku III Rzesza Niemiecka dokonuje inwazji i po krótkiej walce Polska traci niepodległość, a następnie zostaje podzielona między III Rzeszę i Związek Radziecki. Jednakże nie jest to koniec Polski: Brytyjczycy godzą się na utworzenie emigracyjnego rządu w Londynie i Polskich Sił Zbrojnych za granicą, w Polsce powstaje silny ruch oporu wojskowego i cywilnego, który przeradza się w Państwo Podziemne i Armię Krajową. Pełczyński wstępuje do AK i uczestniczy w nieudanym powstaniu warszawskim.

Wzięty do niewoli, trafia do obozu jenieckiego w okolicach Bremy i traci kontakt z Polską na dwanaście lat. Po klęsce Niemiec Pełczyński dostaje się do stanowiącej część armii brytyjskiej I Polskiej Dywizji Pancерnej. Dzięki temu przysługują mu wszystkie przywileje brytyjskiego kombatanta wraz ze

stypendium uniwersyteckim. Po trzech latach studiów w Szkocji Pełczyński przenosi się do Oksfordu, gdzie uzyskuje drugie magisterium i doktorat, jednocześnie przyjmując brytyjskie obywatelstwo. Dzięki wyborowi myśli politycznej Hegla na przedmiot studiów staje się światowej sławy specjalistą w tej dziedzinie. Po paru latach nieetatowych wykładów zostaje członkiem rady Kolegium Pembroke, jak i tutorem nauk politycznych Kolegium Pembroke w Oksfordzie.

Te wydarzenia ostatecznie przypieczętowują jego brytyjski los.

Gdy system komunistyczny w Polsce zaczyna się chwiać i Wielka Brytania odnawia swoje zainteresowanie Europą Środkowo-Wschodnią, Pełczyński osobiście angażuje się w sprawę polską. Zostaje doradcą rządu brytyjskiego do spraw przyznawania środków na reformy gospodarcze i rządowe. Niezależnie od tego uzyskuje poparcie oksfordzkich akademików do stworzenia Programu Gościnności Kolegiów, w ramach którego setki Polaków dostają szansę na krótki pobyt akademicki w Oksfordzie. Dodatkowe stypendia rodzą się ze współpracy Pełczyńskiego z finansistą i filantropem George'em Sorosem. Za te działania wynagradzają go zarówno władze brytyjskie, jak i polskie: otrzymuje tytuł Oficera Imperium Brytyjskiego (OBE) od królowej Elżbiety II i Order Odrodzenia Polski od prezydenta Lecha Wałęsy.

Upadek komunizmu pokazuje również konieczność i otwiera drogę do kształcenia nowej generacji działaczy politycznych, społecznych i ekonomicznych. Lata obserwacji, studiów i działalności dały Pełczyńskiemu ogromną wiedzę na temat istoty życia społecznego i politycznego w Wielkiej Brytanii, a przede wszystkim znaczenia liderstwa w specyficznie anglosaskim rozumieniu. Liderstwo (*leadership*) to zbiór doświadczeń i umiejętności potrzebnych do kreowania wizji, strategii i współpracy potrzebnych do osiągnięcia wspólnego celu. Te idee były podłożem pierwszych kursów liderkich, inspirowanych brytyjskimi wzorcami, zorganizowanych w 1994 roku. Kursy nazywane Szkołą Liderów przerodziły się w instytucję pionierską na skalę Europy Środkowo-Wschodniej.

Ten epilog dedykowany jest właśnie sponsorom, współpracownikom i absolwentom Szkoły Liderów. Wspólnie dokonaliśmy istotnego wkładu w rozwój demokracji i społeczeństwa obywatelskiego w Polsce, za co chciałbym Wam serdecznie podziękować.

Zbigniew Pełczyński

Biografia poświęcona wybitnemu polskiemu filozofowi, wieloletniemu wykładowcy Uniwersytetu Oksfordzkiego, profesorowi Zbigniewowi Pełczyńskiemu. Autor publikacji, David McAvoy, były student profesora, opisuje życie swojego mentora, poczynając od udziału w powstaniu warszawskim, przez emigrację do Wielkiej Brytanii i rozkwit pełnej sukcesów działalności akademickiej, po założenie prestiżowej Szkoły Liderów w Warszawie. Profesor Pełczyński to międzynarodowej sławy heglista, który wykształcił metodą tutorialną wielu studentów z całego świata, m.in. prezydenta Billa Clintona, oraz przyczynił się do organizacji licznych stypendiów dla polskich naukowców w Oksfordzie. Publikacja pozwala nie tylko szczegółowo prześledzić losy profesora, lecz także zapoznać się z oksfordzkim systemem nauczania i myślą polityczną Hegla.